Cena zł. 1.30

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

20 Maja 1926.

Nr. 10 (82).



Roztrzygnięcie konkursu fotograficznego.

Na konkursie fotograficznym sąd konkursowy postanowił kolejnemi nagrodami odznaczyć następujące zdjęcia:

I Gryton aportujący słonkę,
fot. Stanisław Leo, Kraków.

II Głowa jelenia na rykowisku,
fot. Irena Raczyńska,
p. Czarnków Wielkopolska.

III Szukanie postrzałka,
fot. Zdzisław Urbański Poznań.

IV „Nad Rabką“ (z polowań na kaczki),
fot. Stanisław Leo, Kraków.

V Zdjęcie 100 kotów (zajęcy),
fot. Gustaw Mazurkiewicz.

VI W zgodzie,
fot. M. Malinowski Suwałki, Kolejowa 24

VII Na jesiennych zlotach w Lubelpolu.
fot. major Hajdukiewicz.

Nagrody zostaną podane w następnym numerze.

Z ruchu wydawniczego.

„Łowiec Polski“ Nr. 9 „Łowca Polskiego“ przynosi nam cenne studjum Jana Sztolcmana o żubrze, artykuł dr. A. Sandera p. t. „Myśliwstwo a podatek komunalny od przedmiotów zbytku“, A. Staszewicza „Mój pierwszy ryś“, Żarnowskiego „Djana pod ochroną Temidy“, B. Grzymała Przecławskiego „Nieco o broni“ oraz obfity dział aktualności.

„Łowiec“. Ostatni numer (5) „Łowca“ lwowskiego zawiera dalszy ciąg artykułu S. Krogulskiego „Pół wieku“, A. Przedrzymirskiego i E. Mycielskiego „W sprawie etyki myśliwskiej“, W. Gürtlera „W obronie lisa“, J. Kobylańskiego „Krogulec“, W. Czerniejewskiego „Czterdzieści lat myślistwa“, A. Ulma „Z rozważań nad ustawą łowiecką“, oraz sprawy bieżące i korespondencje.

Z TYGODNIA NA TYDZIEŃ.

Jubileuszowy Zjazd Łowiecki Małopolsk. Tow. Łow. odbędzie się we Lwowie w dn. 16—18 czerwca 1926 r. z nast. programem:

W dn. 16 czerwca o godz. 9-ej poświęcenie ołtarza św. Huberta w kościele św. Elżbiety; o godz. 10.30 doroczne walne zgromadzenie Towarzystwa, o godz. 18-ej w sali Kasyna miejskiego uroczysta Akademja z odczytami treści łowieckiej, o godz. 20 zebranie w restauracji Hotelu Krakowskiego; w dniu 17 czerwca o godz. 9-ej strzelanie premjowe, od 15 — 18 zwiedzanie Muzeum im Dzieduszyńskich, o godz. 20 wieczerza w Hotelu Krakowskim; w dniu 18 czerwca zakończenie premjowego strzelania. Jubileusz Małopolskiego Tow. Łowieckiego jest uroczystem świętem całego myślistwa polskiego. Na Zjazd Łowiecki do Lwowa udaje się referent łowiecki Ministerstwa, oraz naczelny Redaktor „Przeglądu Myśliwskiego", p. Juljan Ejsmond.

Zmiana terminów ochronnych w Woj. Śląskiem. W „Gazecie Urzędowej Woj. Śląskiego" z dn. 10-go czerwca 1926 roku ukazało się rozporządzenie woj. śląskiego, dotyczące zmiany czasów ochronnych zwierzyny łownej.

Na podstawie art. 2 ustawy z 11 grudnia 1923 r. (Dz. U. Śl. Nr. 43 poz. 212) wojewoda śląski ustalił w porozumieniu z Radą wojewódzką następujące terminy ochronne na czas 1 roku: dla łań i mł. jeleni — cały rok, dla rogaczy i nieprawidłowych widłaków i śpiczaków 1 listopada — 31 maja, dla sarn, widłaków i spiczaków — cały rok, dla zajęcy 1-go stycznia — 15 października, dla głuszców, kur bażantów i cietrzewi cały rok, dla kogutów bażantów 16 stycznia — 15 października, dla kog. cietrzewi 16 maja — 15 marca, dla jarząbków 16 stycznia — 30 września, dla kuropatw 1 listopada — 31 sierpnia, dla dzikich kaczek 1 grudnia — 31 lipca.

Rozporządzenie powyższe zyskało moc obowiązującą z dniem 19 kwietnia r. b. z ważnością do 18 kwietnia roku przyszłego.

Pierwsza w Polsce mapa rozmieszczenia zwierzyny łownej. Na międzynarodowej wystawie leśnej w Medjolanie wielkie zainteresowanie w dziale polskim budziła mapa rozmieszczenia w Polsce grubej zwierzyny łownej, opracowana przez p. Juljana Ejsmonda, referenta łowieckiego M. Rolnictwa i redaktora naczelnego naszego pisma. Na mapie powyższej uwidoczniono rozmieszczenie w Polsce łosi, jeleni, dzików, wilków, niedźwiedzi, bobrów, kozic, rysi i głuszców.

Zakaz strzelania na Wiśle. Starostwo Warszawskie nadsyła nam następujący komunikat:

Z uwagi na bezpieczeństwo publiczne surowo zabraniam polować na rzece Wiśle w czasie od 1-go kwietnia do 15 października na ptactwo wodne, oraz strzelać z różnych typów broni palnej, nie wyłączając floberów, na odcinkach od Siekierek do Góry-Kalwarji i od Bielan do Modlina.

Zakaz ten obowiązuje również na lądzie wzdłuż tych odcinków na przestrzeni 100 metrów od linji brzegów Wisły.

Winni nieprzestrzegania powyższego zakazu karani będą według postanowień Kodeksu Karnego.

Polowanie na pograniczu wschodniem. Wojewoda nowogródzki nakazał uprzedzać dowództwa odddziałów K. O. P. o polowaniach, mających się odbyć w pasie nadgranicznym, by oddziałów powyższych nie alarmować strzałami.



Wiosną.

Wyprawa na Szpicberg. Polskie Biuro Podróży „Orbis" donosi o organizowaniu przez norweskie biuro podróżnicze w Oslo ekspedycji myśliwskiej na Szpicberg. Koszty mają wynosić około 12 tysięcy koron norweskich od osoby.

Czas trwania 6 tygodni (czerwiec i lipiec r. b.). Droga — wzdłuż zachodniego wybrzeża Szpicbergu do kraju Franciszka Józefa. Bliższych informacji udziela biuro Tow. „Orbis" w Warszawie, ul. Widok.

Ceny niewyprawionych skórek zwierzęcych. Kuśnierze i hurtownicy za niewyprawione skórki zwierzęce płacą następujące ceny: kuny leśne — 60 — 120 zł., kamionki 50 — 96, tchórze 15 — 25, wy-

dry 60 — 90 zł., borsuki 25, krety 7, gronostaje łasice) 10 — 15, rysie 60 — 100, wilki 30 — 60, wiewiórki 3— 4, lisy 35 — 50.

Pod pręgierz. Na str. 4 Nr. 85 „Głosu świeckiego“ z dnia 24 b. m. znajdujemy ogłoszenie treści następującej:

„Majętność Płochocin rzuca na swoje pola truciznę, w celu tępienia wron i dzików. Czajkowski“.

W celu tępienia tego rodzaju myśliwych, co ów p. Czajkowski, ogłoszenie powyższe poddajemy pod pręgierz opinji myśliwskiej.

MIĘDZY STEPEM A DŻUNGLĄ.

(Korespondencja własna „Przeglądu Myśliwskiego“).

U stóp gór Ybyturuzu. Paragwaj kwiecień 1926.

(*Dokończenie*).

Różne są sposoby polowania na pancerniki. Polują na nie z bronią palną, bądź tylko z „machetą“, czyli długim nożem, służącym do cięcia ścieżki w splątanym ljanami lesie dziewiczym; polują z psem, a nawet i bez psa. Najczęściej łapią je w pułapki. Pułapka taka odznacza się wielką prymitywnością i używana jest zwykle przez indjan. Cała sztuka polega na tem, aby odkryć w lesie, lub nad brzegiem strumienia ścieżkę zwierzęcia, które ma zwyczaj chodzić jednemi drogami na łowy i wodopoju. W pewnem miejscu dróżkę tę odgradza się patykami, robiąc pewnego rodzaju kilkumetrowy korytarzyk, na końcu którego opiera się na małym patyku sporą belkę, lub też kawał drewna. Pancernik, idąc po swojej drodze, musi potrącić łbem patyk, a wtedy drzewo przygniata go i bądź zabija, bądź też trzyma żywego w takiej krytycznej pozycji.

Pewien indjanin ze szczepu Kaingua opowiadał mi o dość niezwykłym sposobie polowania na pancerniki, używanym podobno często zarówno przez niego, jak i ludzi z jego plemienia. Mianowicie, wychodził on w miejsca zamieszkane przez te zwierzęta z psem i na pierwsze szczeknięcie biegł pędem do odkrytego egzemplarza. Pancernik ma zwyczaj natychmiast zaryć się w ziemię i w ten sposób bronić przed nieprzyjacielem. Potrafi zakopać się tak szybko, że trzeba nielada wprawy, aby dobiec do niego wtedy, gdy widać go jeszcze przynajmniej do połowy. Wyciągnąć go jednak prawie niema możności, tak mocno trzyma się w jamie. Otóż indjanin ów, dopadłszy go, nie próbował wcale szarpać się z nim, lub w żmudny sposób odkopywać, lecz kładł mu palec w odbyt i zawiąwszy, ciągnął mocno do siebie. Operacja ta tak pono detonuje pancernika, że sam zaczyna się cofać na powierzchnię ziemi, gdzie indjanin uderzał go pałką po głowie i zabierał do obozu na pieczeń.

Najłatwiej upolować pancernika w czasie jasnej, księżycowej nocy. W takim czasie zwierzęta te, ile ich jest, opuszczają swoje kryjówki i radośnie mrucząc, zapuszczają się nawet na dalekie ścieżki i drogi ludzkie. Snać księżyc wpływa na nie, podobnie, jak na ludzi — piękny, słoneczny dzień.

Jednej z takich pięknych nocy wybrałem się na polowanie, na skraj dżungli. Przez ramię miałem przewieszoną dubeltówkę, u pasa wisiała mi „macheta“, a koło nogi kroczył pies.

Pogoda była prześliczna.

Noce paragwajskie niczem nie przypominają dusznych, ciężkiem powietrzem przepełnionych nocy brazylijskich. Świeże i chłodne, pozwalają całemu organizmowi wypocząć należycie po znojnym dniu.

Początkowo szedłem przez step. Wysoka trawa, sięgająca wyżej pasa, muskała mnie łagodnie, przypominając jednocześnie, że w jej gęstwinie mogę każdej chwili nadepnąć jedną z niezliczonych jadowitych żmij, lub wielkiego pająka - ptasznika, którego ukąszenie powoduje również niebezpieczne następstwa. Zcicha pogwizdując, minąłem mały strumyk, który szumiąc wesoło, toczył swoje płytkie fale ku niedalekiej rzece Yhaca-mi. Na drugiej stronie, kilkadziesiąt metrów dalej, rozciągały się wysokopienne, poważne i ponure selwasy. Ciągną się one do gór Ybyturuzu, aż hen, ku wielkiej rzece Paranie i górom Paprociowym [1]).

Od tych lasów szły ku mnie rozliczne, tajemnicze głosy.

Raz rozległo się złe miauknięcie ocelota, to znowu zaryczał głosem jaguara wielki ptak „pavo montez“, lub zahukała przeraźliwie sowa „urukurua“. Czasem z ich gąszcza dobiegł trzask, zwiastujący, że gdzieś niedaleko przesuwa się zwierz leśny, lub rozległ się przeraźliwy jęk dzikiej kury „nambu“, mordowanej przez diaguarundi'h.

[1]) Cerros de Amambay.

Milczącą podczas dnia dżunglę, w nocy przepełniają tajemnicze szmery, głosy, krzyki i jęki. Tylko wtajemniczony potrafi rozróżnić ich znaczenie; dla obcego intruza mowa dżungli , to hałas, przejmujący niewytłomaczoną trwogą i lękiem.

Doszedłem nareszcie do niewielkiej „kampiny" (polany), na której lubiły żerować pancerniki. Musiało ich tam być istotnie dużo, gdyż ledwie na nią wstąpiłem, już pies omal nie zerwał smyczy, czując widocznie naokoło siebie smakowite kąski. Oczywiście, puściłem go natychmiast.

Po chwili rozległo się wściekłe ujadanie.

Pobiegłem wtym kierunku.

Widok ujrzałem dość ciekawy. Pies napróżno starał się przewrócić pancernika do góry brzuchem, co zwykł był robić, aby móc później zapuścić weń losowi, i, ku niepomiernemu zmartwieniu psa, ruszyłem dalej, na drugi koniec kampiny.

I znowu pies zaszczekał radośnie, a ja pobiegłem do niego. Teraz poszczęściło mi się o wiele lepiej, gdyż już nie usiłując schwycić żywcem, ugodziłem tatu maczetą w miękkie miejsce między głową a tułowiem, kładąc go na miejscu trupem. W podobny sposób zabiłem jeszcze drugi egzemplarz i obarczony kilkunastu kilami mięsa, zawróciłem ku domowi.

Tymczasem księżyc opisał już na niebie wielki łuk i zasunął swoje ciekawe oblicze za najwyższy szczyt Ybyturuzu. Wokół mnie zapanowała taka ciemność, że „choć oko wykol". O ile w poświacie księżyca krajobraz wydawał się tajemniczy, pełen niedomówień i półtonów, o tyle teraz nabrał ponu-



DŻUNGLA.

kły, a zwierzę tymczasem usiłowało zaryć się w ziemię. W rezultacie pies schwycił pancernika za krawędź pancerza i trzymał, wyjąc ze strachu, aby mu nie uciekł.

Już oddawna miałem wielką chęć schwycić pancernika żywcem, to też wyrwałem psu zdobycz, chcąc założyć na nią pętlicę ze sznurka. W czasie tej operacji pancernik wyrwał się i zanim spostrzegłem o co się rozchodzi i pobiegłem za nim, zarył się zupełnie w ziemię. Ma on zwyczaj po zaryciu się mniejwięcej na jeden metr, posuwać się dalej na tej głębokości, a więc stosunkowo łatwo go odkopać. Nie miałem jednak przy sobie szerokiej maczety, a tylko małą, którą trzebaby pracować conajmniej z godzinę, albo i więcej, aby takiego schowanego zwierzaka wyjąć. Zostawiłem go też swojemu rego, złego wyrazu. Mimowoli zacząłem oglądać się bacznie, czy z najbliższej kępy krzaków nie wyskoczy jaguar, lub nagle nie ukaże mi się miedziana, nienawiścią do białego plemienia wykrzywiona twarz wojownika guajackiego. I aczkolwiek wiedziałem, że jaguar w te strony zapędza się tylko podczas zimowych miesięcy, a wojownicy plemienia Guajaków, bardzo rzadko opuszczają niedostępne szczyty Ybyturuzu, mimowoli położyłem rękę na rewolwerze i przyspieszyłem kroku.

W godzinę później siedziałem przed swoją rańszą przy wielkim, trzaskającym ogniu i piłem herbatę z dzikich pomarańczy.

M. B. Lepecki.

W NOC NIEPRZESPANĄ.

(Na głuszcowych tokach).

Kwiecień, to miesiąc głuszcowych godów, cietrzewich zalotów i miłosnego chrapania słonek — to miesiąc potężnych wrażeń myśliwego — przyrodnika i myśliwego — poety.

I szczodra okazała się dla naszej polskiej ziemi matka — przyroda, gdyż szukający tych wrażeń myśliwy, znajdzie je na szerokiej przestrzeni — od lasów kaszubskich i puszcz Wileńszczyzny przez mszary poleskie i dąbrowy wołyńskie aż hen — w lazurowe tonie karpackich połonin, czy tatrzańskich hal. W późne wieczory i wczesne ranki tętnią leśne obszary tych polskich krain natchnioną pieśnią miłości, pieśnią, — której całą skalę namiętnych tonów zna tylko prawdziwy wyznawca św. Huberta. W szeregach tych nie brak i takich, którzy godzinami trwają na stanowiskach, wsłuchani w tą pieśń miłości, porwani szałem namiętnej walki, oszołomieni czarem budzącej się wiosny. Trwają i broni nie podniosą do oka — nieraz nawet tej broni nie mając ze sobą. To myśliwi — artyści i poeci.

Lecz — ile bardziej zyskują me myśliwskie wspomnienia na sile, o ile potężniej rysują się ich kontury, jeśli wzrok mój padnie na rozpostarty na ścianie mego pokoju wachlarz królewskiego ptaka, lub na czerniejącą lirę tancerza naszych łąk! Wówczas przeżywam po raz drugi niezapomniany urok księżycowej nocy karpackiej, słyszę przewalający się po zboczach Paraszki grzmot strzału i wyczuwam złomek jedliny, wpięty w mój myśliwski kapelusz ręką sędziwego leśnego. U moich zaś stóp widzę wspaniałą zdobycz, cenne trofeum myśliwskie, nagrodę za trudy — nieprzespanej nocy...

* * *

Tak dobrze znana mi przestrzeń Lwów — Skole, tym razem wydała mi się, iż końca niema. Cztery godziny trwająca pociągiem jazda, zachmurzone niebo, a nawet mały kapuśniaczek koło Mikołajowa, nie dobrze wpłynęły na mój myśliwski humor. Jakaż jednak była ma radość, gdy o godz. 9-ej wieczorem, gramoląc się w Skolem na mały, góralski wózek, patrzyłem w pełnię wychylającego się z poza czarnych zboczy gór skalistych księżyca, zlekka przysłoniętego pierzastemi chmurkami.

Minąwszy jasno oświetloną Demnię, dojechaliśmy doliną Oporu do Świętosławia i tu skręciwszy na prawo, doliną Orawy, dotarli do Korostowa, do leśniczówki mego brata, zarządcy lasów br. Groedlów.

— Słuchaj—rzekł brat do mnie po pierwszem przywitaniu się — ale do miejsca toku masz z dziesięć kilometrów piechotą i to do góry, aż hen — koło samego szczytu Paraszki.

Skinąłem lekceważąco ręką. Taka noc — pomyślałem—a on mi kręci głowę dziesięcioma kilometrami.

— Dawaj jeść i telefonuj do Petersika, iż już do niego podjeżdżam — odpowiedziałem.

Za chwilę podleśniczy Petersik i gajowy Horodyński wiedzieli, iż jestem i gdzie mają na mnie czekać.

— To tylko możliwe u Groedla — pomyślałem — tak wygodne dla zarządcy lasów połączenie ze swymi podwładnymi; o ile też lepsza kontrola lasów i hodowli zwierzyny, z obfitości której, słynęły i słyną skolskie bory, które gościły w swych smrekach nawet książęce głowy.

Kilka minut po dziesiątej siedziałem znowu na wózku i tłukłem się kamienistą drogą do leżącego za wsią podleśnictwa. Obok drogi biegnie tor kolejki górskiej, w dole szumi Butywlanka, w górze zwana Krasnym Potokiem. Nad nami wytoczył swą świetlaną tarczę jasny księżyc. Widno było jak w dzień. W nadbrzeżnych krzakach Butywlanki biły słowiki tak zawzięcie, iż kilkakrotnie zatrzymywałem furmana i wsłuchiwałem się w trele skrzydlatego Romea. Jedyne to były dźwięki tej nocy tak pięknej, jakiej dawno nie pamiętam. Jeden listek nie drgnął; cała przyroda jakgdyby w miłosną ekstazę zapadła, z której miały ją dopiero zbudzić pierwsze promienie jutrzenki i odgłosy ptasząt.

Minęliśmy wieś. W cieniu potężnych smereków zamajaczyły przede mną kontury białego domku, a z pod przydrożnego drzewa podniosła się wyniosła, barczysta, odziana w szeroką myśliwską pelerynę, postać. Był to podleśniczy Petersik, jeden z najstarszych oficjalistów dóbr skolskich.

— Dobry wieczór — rzekł do mnie, podając mi swą szeroką, poczciwą dłoń — śliczną noc pan złapał — lecz dalej nie pojedziemy — stąd już idziemy piechotą.

Za chwilę zjawił się koło nas gajowy i tak we trójkę zaczęliśmy się piąć wąską ścieżyną górską na zbocza Paraszki. Raz jedyny wypoczywaliśmy na jakiejś polance, zresztą, marsz bez ustanku trwał do godziny pół do drugiej, gdy znaleźliśmy się na połoninie. Stąd dopiero wzrok mój objął całe morze szczytów, okolonych lasami, a myśl zbłądziła do tych szczęśliwych, akademickich czasów, gdy z workiem na plecach, z wesołą pieśnią na ustach, brał

młody turysta w swe posiadanie te nasze cudne góry.

— Mamy jeszcze czas — rzekł Petersik — jesteśmy już przed miejscem toku — niechno Horodyński rozniecí ogień — dodał — zwracając się do gajowego.

Za chwilę trzaskał wesoło ogień i sypał skrami z suchych gałęzi jodłowych. Siedziałem na myśliwskiem krześle, oparty plecami o wysoki drąg smerekowy, gdy nagle odezwało się chrapanie słonki, a ja, jakgdyby prądem uderzony, zerwałem się z siedzenia. Petersik uśmiechnął się dobrotliwie.

— W taki czas ciągną całą noc, tędy ich najlepszy przelot — rzekł do mnie na pół szeptem — ale czas nam już w drogę — dorzucił — patrząc na zegarek.

Była godzina trzecia, gdyśmy wstali, zagasili ogień i zapuścili się w las. Stąpaliśmy cicho, jeden za drugim — ni słowa do siebie nie mówiąc. Z dolin górskich podniosły się mgły ranne, przysłoniły nam księżyc(wchłaniając i nas w swe wilgotne objęcia. Górą ciągnęły chrapiące słonki, — kosy i drozdy zaczęły się coraz częściej odzywać swym urywanym, melodyjnym świstem. Gdzieś w dole, spowitym jeszcze w cieniach, żegnał noc swem przeciągłem hukaniem puhacz, górą, ponad przelatującemi mgłami, zaczęły płynąć pierwsze świetlane smugi.

Nagle sunący przodem, jak duch leśny, Petersik, przystanął i zrobił znaczący ruch ręką wprost przed siebie. Stanąłem i ja,a za mną gajowy.

— Co oni do djabła słyszą, czy widzą — pomyślałem — wytężając wzrok i słuch. — Cicho się nagle tak zrobiło, iż szum mej krwi słyszałem, a serce mi biło, jak młotem. Pierś mi zaczęła falować i czułem, iż ze wzruszenia pobladłem.

Petersik nachylił się do mego ucha. — Jest głuszec — ledwie jego szept podchwycić zdołałem — niech pan idzie przodem... i wskazał mi niewysoki smerek, stojący wśród buków, o jakie sto kroków od nas.

Byłem prost zrozpaczony, gdyż ja jeszcze niczego nie słyszałem; jednak nie dałem tego po sobie poznać, a wysunąwszy się naprzód, pokazałem tym wilkom górskim, że i ja w górach potrafię, jak rys, chodzić. Jednej gałązki nie złamałem.

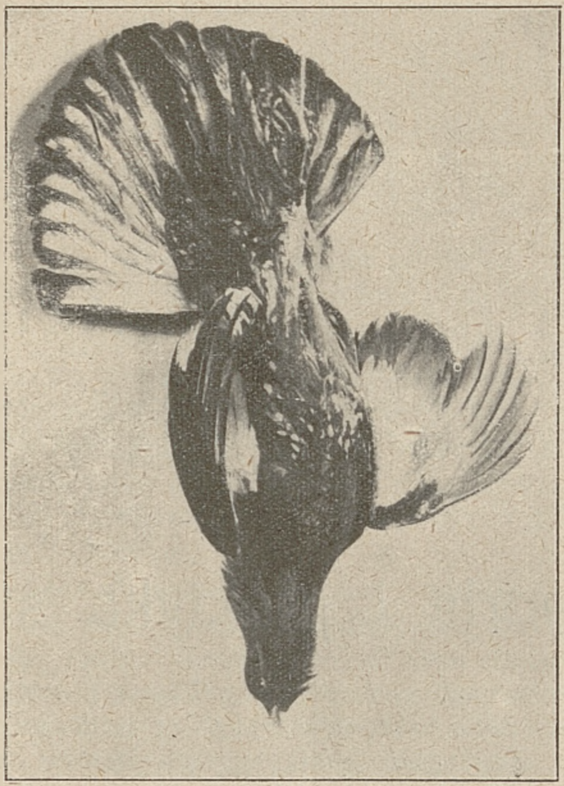
Nagle przystanąłem. — W me natężone bębenki uszu wtargnęły, jakby dalekie, urywane uderzenia kastanietów... Odwróciłem się i zobaczyłem porozumiewawczy gest Petersika; pokazywał gdzieś już wprost do góry, przedemnie, na świerk.

A charakterystyczne tek... tek... tek.. zaczęło się znowu powtarzać i przechodzić w jakieś tajemnicze, niewyraźne — gdzieś jakby z poza gór, płynące dźwięki.

Stanąłem jak wryty. Wiedziałem już, że głuszec tokuje tuż koło mnie, a ja go dojrzeć nie mogłem. Świerk nie był wysoki i wcale nie gęsty — na nim go stanowczo nie ma. Nagle wzrok mój padł poza świerk, na jedną z bocznych gałęzi niewielkiego buka... gałąź ta dziwnie zadrgała.

Skamieniałem. Ze wspaniale rozpuszczonym wachlarzem, z szyją wprost do góry pionowo wyciągniętą, z lekko rozpuszczonemi, ku dołowi nachylonemi skrzydłami, stał mój górski śpiewak i głosił budzącej się przyrodzie potężną od wiek wieków trwającą pieśń miłości.

Podniosłem broń do oka i zacząłem go szukać na muszce. Był to jednak momentalny tylko odruch, gdyż po chwili spuściłem strzelbę ku dołowi i za-



Królewskie trofeum. Fot. prez. Świętorzocki.

cząłem się przyglądać majestatycznemu władcy karpackich borów i połonin. Był najdalej odemnie o jakie trzydzieści kroków.

A głuszec tymczasem „tekotał" dalej zawzięcie, to nagle urywał i przechodził jakgdyby w szept, ciągle dziób potężny otwierając, ruszał nim, a nogami majestatycznie przekładając, wykonywał zwroty we wszystkie strony świata.

I znowu strzelbę podniosłem do oka — i znowu się pohamowałem. W sercu mem odezwał się jakiś żal, jakgdyby wstyd. Wszak teraz do niego strzelać, na taką odległość — to tak, jakgdyby do zająca w kopnie. Wszak ten ptak, jakgdyby pijany — jeśli on mię nie wyczuwa, nie widzi nawet ruchów mych rąk.

I kto wie, do czego byłaby ta wewnętrzna walka mej duszy doprowadziła, gdyby nie leśna zalotnica — głuszyca. Snać skutkował potężny zew miłości leśnego trubadura, gdyż głośno bijąc skrzydłami, siadła niedaleko mego śpiewaka.

Kogut na chwilę przystanął ,zamarł wprost w swej królewskiej postawie, a mnie, jak nożem, przeszyła myśl, iż uleci i więcej go nie zobaczę.

Myśliwy - strzelec wziął górę nad myśliwympoetą.

Padł ostry, krótki strzał, a z nim razem, jak piorunem rażony, grzmotnął ciężko do stóp mych wspaniały ptak.

Jeszcze się echo strzału przewalało po zboczach górskich, a już w trójkę staliśmy nad trupem rycerza-śpiewaka. Petersik liczył pióra wachlarza, a podnosząc ptaka do góry, badał jego ciężar, gajowy zaś zacierał ręce i cmokaniem dawał wyraz swej radości, ja zaś stałem jak odurzony, nie zdając jeszcze sobie sprawy ze swego szczęścia myśliwskiego.

— Ale tremę, to pan miał — mówił Petersik — wpinając mi ułamek jedliny za kapelusz — dwa razy pan strzelbę podnosił: lecz dobrze, że jest — a ładny... stary kogut...

— Być, to musiał być — dorzucił gajowy — bo pan sam sobie strzelbę niósł — ja to zaraz wiedział. I nie miał pan żadnych kufrów, walizek, nawet plecaka — a szedł pan do niego, jak na gumach...

Starałem się bronić, iż wcale tremy nie miałem, że kura spowodowała strzał i że sam nie wiem, kiedy znalazłem się pod nim i jak go zobaczyłem. Zdawało mi się, iż ta, tak rzadka dla mnie przygoda myśliwska, trwała wieki całe — a to tymczasem jeszcze się dobrze nie rozwidniło, gdy z głuszcem, przerzuconym przez plecy, wracaliśmy do ogniska. Tu krótkie śniadanie, kilka anegdot myśliwskich Petersika i wspaniały wschód słońca, dopełniły całości mej biesiady myśliwskiej.

* * *

O 7-ej rano byłem z powrotem na leśniczówce. — Dobrze, żeś mię nie skompromitował — rzekł pan brat — oglądając koguta — a teraz właź do łóżka, należy ci się odpoczynek.

O 2-ej po południu wracałem w deszczu już z powrotem do Skolego, a o 6-ej wieczorem stanąłem we Lwowie.

Wdzięczność myśliwska każe mi na tem miejscu podziękować p. prok. Robusowi i p. lustr. Kohlowi, dzięki których pozwoleniu, skromne me zbiory myśliwskie powiększyły się o wspaniały okaz głuszca karpackiego, tem dla mnie cenniejszego, iż zdobyłem go sam, wśród — nieprzespanej nocy.

Prof. Rudolf Wacek.

Teorja i praktyka strzelania z broni śrótowej.

Strzelanie celne jest niewątpliwie pewnego rodzaju sztuką, którą nieliczni tylko z myśliwych osiągają, dzięki wrodzonym indywidualnym swym w tym kierunku zdolnościom.

Bezwątpienia, jednym z najważniejszych czynników, sprzyjających do osiągnięcia dobrych rezultatów w strzelaniu, jest, jak we wszystkich zresztą, długoletnia praktyka, lecz sama przez się nie jest ona jeszcze decydującą. Rzadko bardzo, by dobry myśliwy wiedział nawet, czemu istotnie swe powodzenie w strzelaniu zawdzięcza. Najczęściej nad tem się nie zastanawia, zadawalając się dodatnimi rezultatami, jakie osiąga. Toż samo powiedzieć można o złych, lub o miernych strzelcach, którzy najczęściej winę przypisują wszystkiemu — tylko nie sobie.

Aby być dobrym strzelcem, trzeba posiadać następujące warunki:

1) Mieć dobry wzrok wogóle, z przewagą siły wzroku prawego oka nad lewem.

2) Nie wolno być nerwowym.

3) Umieć szybko określać odległość, dzielącą myśliwego od zwierzyny.

4) Umieć szybko składać się i wymierzać kąt, pod jakim winna być zwierzyna brana na cel w związku z szybkością jej ruchu.

5) Natychmiastowa decyzja strzału z pociągnięciem za cyngiel, gdy poprzednie warunki zostały dopełnione.

6) Posiadanie dobrej broni.

Przejdźmy teraz do analizy tych poszczególnych warunków.

Niewielu z pośród ludzi, a temsamem i myśliwych, posiada dobry wzrok, w większości wypadków każdy z nas posiada jakiś defekt wzrokowy o którym nawet częstokroć nie wie, gdyż mu w jego codziennych czynnościach nie przeszkadza. Tymczasem w rzeczywistości rzecz się ma zupełnie inaczej. Większość z nas czasem od urodzenia lub też z wiekiem, wskutek rozmaitych rodzajów pracy, posiada siłę wzroku nierównomierną t. j., jedno oko jest silniejsze od drugiego.

W tym wypadku widzi się wszystko pod kątem widzenia silniejszego oka, przyczem drugie oko wypełnia tylko rolę biernej asysty.

Praktycznie każdy przekonać się może na sobie samym, patrząc na jakiś stały punkt z odległości kilku metrów przez obrączkę, trzymaną przed sobą w pewnej odległości, tak, by dany punkt widziany był jednocześnie obydwoma oczami. Zamykając następnie oddzielnie prawe oko i oddzielnie lewe, powinnibyśmy przy jednakowo rozwiniętej sile wzroku obu oczu w pierwszym wypadku widzieć ten punkt na lewo, w drugim na prawo od obrączki. W większości jednak wypadków okazuje się, że zarówno obydwoma oczami, jak i jednem z nich, widzi się obserwowany punkt w tem samem miejscu, co świadczy, że dane oko jest silniejsze od drugiego. Innemi słowy, że nastawiając obrączkę przy patrzeniu obydwoma oczami na obserwowany punkt, bezwiednie przesuwaliśmy obrączkę w stronę silniejszego oka. Bywa i tak, że przy zamknięciu jednego oka, widzi się obserwowany punkt nietylko przesunięty poza obrączkę w lewo, lub prawo, ale jednocześnie przesunięty wyżej, lub niżej, co świadczy o dodatkowem istnieniu zeza. Sposób ten, sprawdzany przez setki osób, mnie osobiście dał możność stwierdzenia u siebie niedostrzegalnego dla nikogo, ani nawet dla mnie samego, zeza w jednem oku, który okulista potwierdził, przepisując odpowiednie szkła specjalnie do polowania.

Z powyższego jasnem jest, że jeżeli zamiast obserwowanego punktu z odległości kilku metrów będziemy mieli przed sobą zwierzynę na kilkadziesiąt kroków, a zamiast obrączki muszkę lufy, to o ile tylko siła wzroku lewego oka będzie większą od prawego, zwierzynę w chwili strzału, a więc przy zamknięciu lewego oka, będziemy widzieli w zupełnie innem miejscu aniżeli ją widzieliśmy poprzednio, co w konsekwencji musi dać pudło. Jeżeli natomiast prawe oko będzie silniejsze, po zamknięciu lewego oka, widzieć ją będziemy w tem samem miejscu, co patrząc obydwoma — a więc prawidłowo.

Logicznie teraz rozumując, przyjść musimy do wniosku, że do dobrego strzelania potrzebny jest dobry wzrok, ale zawsze z przewagą prawego oka nad lewem. Dobry wzrok wogóle potrzebny jest myśliwemu do dokładnego widzenia wszystkiego, co go otacza, tak pod względem barw, jak i konturów conajmniej w promieniu stu kroków.

Najlepsze wyniki osiągają ci, którzy się przyzwyczaili do strzelania z obydwoma otwartemi oczami. Strzelec taki widzi wszystko w chwili strzału o wiele plastyczniej na podobieństwo stereoskopu, aniżeli celujący z lewem okiem przymkniętem. Strzelcy tacy mają prawe oko silniejsze od lewego, przyzwyczaiwszy to ostatnie do spełniania roli czysto pomocniczej. Patrząc na zwierzynę obydwoma oczami, do której jednak celują bezwiednie zupełnie tylko prawem okiem, lewem jednocześnie widzą wszystko, co ich otacza z lewej strony, a więc dajmy na to zrywającego się drugiego ptaka, do którego mają możność szybkiego złożenia się po daniu pierwszego strzału. Strzelcy tacy celują w dubletach.

Jak ważną rzeczą jest ten rodzaj strzelania, dowodzi fakt, że według słów jednego z oficerów, który służył w armji amerykańskiej, żołnierzy tamtejszych uczą przyzwyczajać się do strzelania z otwartemi oczami. W tym celu zasłaniają im całkowicie lewe oko rodzajem klapki, która pozwala jednak na patrzenie podczas celowania i strzału. Po pewnym czasie żołnierz przyzwyczaja się i po zdjęciu klapki nie uczuwa więcej potrzeby mrużenia, czy zamykania lewego oka. Dowodziłoby to, że można sztucznie wyrobić sobie przewagę prawego oka nad lewem. Że tu odgrywa dużą rolę przyzwyczajenie, nie ulega kwestji, a przekonać się o tem możemy bardzo łatwo. Wystarczy złożyć się z broni i wycelować prawem okiem, zamykając początkowo lewe oko całkowicie, a następnie, nie przestając celować, powolutku je otwierając i pozostawiając tylko cokolwiek zmrużonem. Przekonamy się, że przez chwilę równie dobrze cel i muszka będą widoczne, jak przy patrzeniu tylko samem prawem okiem. Dotyczy to przedewszystkiem tych, którzy z natury mają prawe oko silniejsze.

Dobry strzelec nie powinien być nerwowy, nie powinien się gorączkować, strzelając tylko to, co jest rzeczywiście na strzał odpowiednie do posiadanej broni. Pamiętać zawsze należy, że nie ten jest dobrym strzelcem, który zabija dużo, ale i w dwójnasób pudłuje, lecz ten, który zabija może nawet mało, ale zato strzela bez pudła. Iluż to osławionych królów naszych polowań nie warci są jako strzelcy tych, którzy nikły rezultat polowania zawdzięczają jedynie stanowiskom, jakie im na polowaniu w udziale przypadły, ale którzy zato nie dali ani jednego pudła. Na wszystkich polowaniach gremjalnych myśliwi powinni zaprowadzić kary za każdy chybiony strzał, a pieniądze obracać z tego źródła na cele ochrony i hodowli zwierzyny. Powstrzyma to wielu od psucia prochu, a zwierzynie wyjdzie tylko na zdrowie.

Trzecim warunkiem dobrego strzelania jest umiejętność szybkiego orjentowania się w odległości, oraz szybkości ruchu zwierzyny. Jak pod tym względem wielu myśliwych szwankuje, wystarczy przyjrzeć się strzałom, dawanym na polowaniach. Z reguły można powiedzieć, że strzały na bardzo bliską metę w większości wypadków bywają chy-

bione, jednocześnie wiele strzałów pada, dawanych na odległości znacznie przekraczające nośność broni. Aby dojść pod tym względem do wprawy, najlepszym sposobem jest, będąc na spacerach, obierać jakieś punkty stałe przed sobą i liczyć następnie kroki. Po pewnym czasie takiej praktyki, można dojść do dużej wprawy i mylić się tylko nieznacznie.

Ocenianie szybkości ruchu zwierzyny jest o wiele trudniejsze, gdyż jeden i ten sam gatunek zwierzyny w zależności od warunków atmosferycznych, czasu, w którym się na nią poluje, oraz momentu, w którym się strzał do niej daje, zmienia szybkość i to nawet znacznie. Jednak i tutaj drogą praktyki można dojść do znacznej wprawy.

Istnieją nawet teoretyczne dane co do szybkości ruchu zwierzyny, któremi można się posiłkować, a które przy strzelaniu ulegać muszą korektywie, w zależności od szybkości, z jaką myśliwy składa się do zwierzyny.

Przypuśćmy, mamy lecącą wpoprzek przed myśliwym kuropatwę z przeciętną szybkością 15 metrów na sekundę na odległość 25 metrów. Na przebycie tej przestrzeni, śrót, grubości 2,5 m/m., wymaga 0,9 sekundy, spuszczenie zamka od chwili pociągnięcia za cyngiel, około 0,002 sekundy, zapalenie prochu 0,001 sekundy, czas niezbędny na przelot śrótu przez lufę koło 0,007 sekundy, zatem łącznie 0,1 sek., a że przez ten czas kuropatwa przeleci 1,5 metra, zatem jest to minimum odległości, na jaką powinien być dany strzał przed lecącą kuropatwą. Minimum dlatego, że w grę wchodzi jeszcze strata czasu na złożenie się z pociągnięciem za cyngiel, co jest już rzeczą czysto indywidualną. Że w tym względzie myśliwi szwankują, dowodem, że w większości wypadków zwierzynę chybiają nie dlatego, że nie zdążyła dolecieć, czy dobiec do śrótu, lecz dlatego, że śrót ją z tyłu ominął. Fakt ten potwierdza kaleczenie zajęcy na polowaniach, przeważnie w tylne skoki, rzadko niezmiernie w przednie.

Posiadanie dobrej broni jest rzeczą pierwszorzędnej wagi. W miarę ubywania terenów myśliwskich, skutkiem parcelacji, zwierzyna, będąc ustawicznie płoszoną przez ludzi i wałęsające się psy, staje się coraz więcej płochliwą i mniej dotrzymuje. Broń dalekonośna ma tę wyższość, że ułatwia danie celnego strzału. Prawie każda zwierzyna, a w szczególności ptactwo, w pierwszej chwili nie jest zdecydowane co do kierunku ucieczki i dopiero po pewnym czasie ten zdecydowany kierunek obiera, który to moment jest niezaprzeczenie łatwiejszy i pewniejszy do strzału, lecz pewniejszym o tyle tylko, o ile posiadana przez nas broń jest dalekonośną. Przy polowaniach natomiast w gęstym lesie, czy zagajnikach, dalekonośna broń jest mniej odpowiednia, bo albo się chybia, albo rozstrzeliwuje zwierzynę.

Stanisław Kamocki.

POINTER CZY SZORSTKOWŁOSY.

P. dr. Stanisław Koźmian-Rejcher, pisząc o pointerze, podnosi wielkie jego zalety. Chociaż może nie zaliczam się do najstarszych myśliwych i hodowców wyżłów, zajmuję się jednak od szeregu lat myślistwem i hodowlą bardzo intensywnie i nazbierałem już dużo doświadczeń. Dlatego pozwalam sobie skreślić kilka uwag do powyższego artykułu.

Pointer angielski jest niewątpliwie mistrzem w polu na kuropatwy, lecz na tem zwykle kończy się jego sztuka.

Czystej krwi pointer-anglik—co dziesiąty zaledwie aportuje kuropatwę, a na grubszą zwierzynę wogóle nie reaguje, czując wprost wstręt do zimnej zwierzyny. Większa część myśliwych składa się ze zwykłych śmiertelników, którzy nie mogą sobie pozwolić trzymać dwa wyżły — jednego do aportowania — drugiego do szukania. Byłby to luksus, skoro legawiec, rozpowszechniony tu na Kresach zachodnich zrobi to samo w polu, co pointer, aportując zarazem każdą sztukę. Przy polowaniach na kaczki, przy buszowaniu w krzakach i zagajeniach na bażanty, lisy lub na chyżego mieszkańca nor, napewno przewyższa anglika w swoich zaletach i odbiera mu wszelkie laury. Dla pointera woda jest zwykle za mokra i za zimna, trzcina i krzewy, wzgl. zarośla, są za ostre na jego delikatne uwłosienie, niechroniące go przed zimnem wody i bezwzględnością zarośli. Nie dziw więc, że tam, gdzie nasz wyżeł okazuje się wszechstronnym mistrzem w tak wielu działach pracy, tam anglik jest jednostronnym i niknie na polu chwały, ograniczając się pracą do aportowania kur.

Swego czasu (około 50 lat temu) stał niemiecki legawiec poniżej zera pod względem budowy i sposobu szukania. Był ociężały i szukał w polu bardzo wolno. Pointer angielski przyczynił się do tak świetnych rezultatów, dzięki którym Niemcy tryumfują. Anglika krzyżowano z dawniejszym wyżłem niemieckim, przez co nadano mu z biegiem czasu tę samą figurę, którą posiada pointer. Dalej przelano przez krzyżówkę temperament i wiatr na wyżła niemieckiego, a z drugiej strony, utrzymano właściwo-

ści wyżła niemieckiego, czyli dowodnego. Z tego punktu widzenia angielski gentleman, jak go Szan. Autor zwie, ma pewne zasługi. Pointera użyto także do innego eksperymentu, a mianowicie: do krzyżówki z tak zwanym pudlem (Jagdpudel) i osiągnięto bardzo dobre rezultaty; ta odmiana nazywa się Pudelpointer. W podobny sposób wyhodowano rasę szorstkowłosistą (Deutschdrahthaar), w której żyłach także płynie krew pointera. Pochodzenie tej rasy nie jest dokładnie znane, lecz na ogół twierdzi się, że jest to mieszanka francuskiego gryffona, krótkowłosistego, niemieckiego legawca i angielskiego pointera. Że w tej rasie ukrywa się dużo angielskiej krwi, zatem przemiana, choćby ten fakt, iż na ogół wyżły tej rasy odznaczają się bardzo dobrą figurą i temperamentem. Jeżeli Szan. Autor twierdzi, że w polu, czyli w sposobie szukania i wystawiania, żaden wyżeł nie jest w stanie pointrowi stawić czoła, to się bardzo — bardzo grubo myli. Obserwowałem bardzo często na popisach wyżłów dowodnych prace tych wyżłów i sam od lat tylko z takimi wyżłami poluję. Pod względem szukania i wystawiania jestem zupełnie zadowolony. Jeżeli bowiem poluje się z wyżłem od jakiejś 10-ej do 18-ej godziny z krótką przerwą południową, a wyżeł od początku do końca zawsze z równym temperamentem — galopem okłada pole, a nawet w braku dostatecznej ilości wyżłów, trzem myśliwym usługuje, wówczas chyba dorówna angielskiemu pointerowi. Zresztą, odsyłam Szan. Autora do przeczytania referatów z popisów wyżłów dowodnych z roku 1922 w Głuszynie i Piotrowie (Wielkopolska oraz z 1925 roku w powiecie strzelińskim (Wielkopolska). Nie śmiem twierdzić kategorycznie, lecz odnoszę wrażenie, że Szan. Autor nie miał sposobności innej rasy wyżłów obserwować w ich wszechstronnych zaletach i zdolnościach. Anglik jest także miękkim wyżłem na drapieżniki. Rzadko który zdecyduje się na energiczny atak wobec drapieżnika, a przecież każdemu racjonalnemu myśliwemu powinno zależeć na tem, ażeby wyżeł każdego napotkanego drapieżnika zdławił, a conajmniej tak osadził, ażeby myśliwy mógł go strzałem osiągnąć.

Nasz zwierzostan został przez wojnę tak zdziesiątkowany, że powinniśmy wielką wartość kłaść na ciętość wyżła, który się przyczynia przez to do podniesienia stanu zwierzyny. Lwia część myśliwych nie zdaje sobie sprawy z tego, ile taki zdziczały kot-włóczęga szkody wyrządza w zwierzostanie, a jeżeli chodzi o kota-włóczęgę płci żeńskiej, który w stogu się okoci i ma 4 — 6 kociaków, wtenczas można się przekonać ile on dziennie przynosi młodych zajączków, bażantów i kuropatw, przeważnie schwyconych na gnieździe. Nie godzę się z twierdzeniem Szan. Autora, który podtrzymuje, że anglik się zaaklimatyzował i przekształcił na wyżła dowodnego. W tym wypadku może jedynie rozchodzić się o pointera krzyżowanego z legawcem, rozpowszechnionym u nas na Kresach zachodnich, a nie czystego anglika, który jest wyżłem jednostronnym, nie wyżłem wszechstronnym, którego my w Polsce potrzebujemy. Niemcowi przyznać trzeba, że jest praktycznym i kulturalnie stojącym na wysokim poziomie. Zatem — jeżeliby pointer był tak wszechstronnym wyżłem, jak Szan. Autor twierdzi, uchwyciłby już gotowy materjał a nie męczyłby się przez kilka generacji nad udoskonaleniem swojego dawniejszego wyżła.

Dlaczego nikt się nie odważy w świecie myśliwskim stanąć do konkursu wyżłów dowodnych z pointerem? — widocznie, że nie posiada wyżła



Juno von d. Domburg—wł. J. Jasiński Strzelno.

wszechstronnego. Że w wyżłach, u nas rozpowszechnionych, mamy doskonałe okazy pod względem budowy i inteligencji, niech służą, jako dowód, fotografje, zamieszczone w numerze 9 oraz w dzisiejszym numerze „Przeglądu Myśliwskiego". Owe wyżły, najnowsze reproduktory dla Polski „Graf Egge v. Frei Korps" (Księga rodowodowa H. D. D. 2665, oraz Księga wyżłów dowodnych 1754, dalej „Juno von der Domburg" (fotografja w Nr. 9 „Przeglądu") Księga rod. 3432, tom VIII, uzyskały na wystawach pierwszorzędnych w Niemczech (w Lipsku, Magdeburgu itd.) najwyższe odznaczenia, a nawet pobiły anglików, których kilka na wystawie w Berlinie w roku bież. od 20 — 21 II. r. b. wystawiono. Na dowód moich twierdzeń, przesłałem Szan. Redakcji odnośny zeszyt „Deutsche Jaeger-

zeitung", który moje wywody potwierdza. Prawdziwy znawca i amator przyzna, że polemika moja, dotycząca wyższości szorstkowłosistego wyżła nad pointerem jest umotywowana. Ten sam wyżeł „Graf Egge v. Freikorps" uzyskał także pierwszą nagrodę w Lipsku (Niemcy) na popisach wyżłów dowodnych, oraz cztery inne honorowe nagrody za wszechstronność przy ostrej konkurencji, która liczyła 36 wyżłów. Z powyższego wynika, że wyżeł szorstkowłosisty nie ustępuje absolutnie pointerowi pod względem figury i inteligencji, a ma tę dodatnią zaletę, że jest wszechstronnym. Chciałbym chętnie podczas polowania zimowego z naganką, porównać Pointera z szorstkowłosistym wyżłem. Pierwszy kurczy się w śniegu i mrozie, przytulając się do nóg swego pana. Jeżeli jest chociaż tylko cieniutka skorupka ze śniegu, zacznie Pointer wnet farbować z łap, ponieważ pokaleczy sobie szybko delikatną skórkę. Wyżła szorstkowłosistego obdarzyła natura bardzo gęstem, czyli odpornem futerkiem, które go dobrze chroni od silnego i mokrego zimna. Podczas śnieżycy utworzy się na jego futerku formalny pancerz z śniegu, który się na jego szorstkich włosach pod wpływem ciepła zamienia na lód. Wyżeł tej rasy nie troszczy się bynajmniej o tego lub podobnego rodzaju przeszkody, lecz spełnia swoje obowiązki zawsze i wszędzie bardzo chętnie i sumiennie, czyli przyniesie każdą zestrzeloną sztukę wśród najgorszych warunków, które często się wydarzają. Wyniesie on nawet zimą, w mrozie, każdą strzeloną kaczkę z wody i nic mu ta kąpiel (ks. Kneippa) nie zaszkodzi, byleby tylko miał później dużo ruchu.

Pointer angielski na tego rodzaju polowania bynajmniej się nie nadaje, jest on bowiem nawet na zmiany powietrza bardzo wrażliwy.

Ig. Jasiński.

POLOWANIE Z KREKUCHĄ.

Chciałbym się podzielić z towarzyszami z pod chorągwi św. Huberta wiosennym sposobem polowania na kaczory, znanym prawie tylko starym myśliwym poleskim. Zdaje mi się, że nie wiedzą o nim koledzy z innych dzielnic Polski.

Mam na myśli polowanie z krekuchą. Szara, drobna kaczka, nieco większy kaczorek, tak łudząco



Krekucha.

podobne do dzikich, że wytrawny myśliwy i nawet hodowca, gdy razem zobaczy je na własnym stawie, nie jest w stanie ich odróżnić.

Gdy rozpocznie się ciąg dzikiego ptactwa, a kaczki, krzyżówki, zasiądą na jajach, kaczory krążą w poszukiwaniu samic, bierze się krekuchę do zamykanego, plecionego kosza i udaje się na upatrzone stanowisko, gdzie ciąg jest większy i obfitego spodziewać się należy przelotu.

Zbudowawszy sobie dobrze ukrytą i niezwracającą uwagi budkę nad brzegiem jeziora, rzeki, czy mokradła, wbija się w dno kij z okrągłem denkiem u góry, równo z powierzchnią wody, zaś na sam kij nałożony pierścień z kory brzozowej, do którego przywiązuje się sznur cienki, ale mocny i którego drugi koniec przymocowuje się do łapki kaczki i puszcza na wodę; łapkę okrywa się niżej kolanka skórą, w celu uchronienia od obtarcia sznurkiem.

Długość sznurka pozwala kaczce na mniej lub więcej swobodne ruchy. W razie zmęczenia, wskutek długotrwałego pływania, odpoczywa ona na krążku, przymocowanym na końcu kija.

Zdolności wabienia są indywidualne, i o ile nie ma się kaczki już obstrzelanej i obeznanej z tem polowaniem, bierze się w tym celu kaczora razem w koszu; gdy puszczona kaczka nie krzyczy, porusza się koszem, kaczor zaczyna się odzywać, a wtedy odpowiada mu kaczka. Na jej wabienie przylatują dzikie kaczory i opuszczają się na wodę. Zabite kaczory należy zabierać, aby nie płoszyły nadlatujących nowych.

O ile przelot jest dobry, myśliwy ukryty i kaczka, dobrze wabi, można nie żałować trudu i przynieść do domu plon obfity.

Wybierając się na dalszą wyprawę, dobrze mieć ze sobą kilka kaczek, gdy jedna się zmęczy, lub słabo wabi, puszcza się drugą.

Polować najlepiej wczesnym rankiem i wieczo-

rem, w ciepłe dnie; w chłodne, kaczka marznie na wodzie i niedobrze wabi.

Krekucha jest, jak już wspomniałem, łudząco do dzikiej kaczki podobna, od której zresztą pochodzi, zachowała jej wielkość, barwę upierzenia, zdolność lotu, przy jednoczesnem przyswojeniu się do ręki ludzkiej. Znam parę kaczek w Pińsku, które puszczone bez sznurka na wodę, wracają same po polowaniu do łódki. Zimę spędza jak domowa, wspólnie z innym drobiem, choć w tym wypadku należy unikać hodowli kaczek swojskich, gdyż natychmiast krekuchy się wyradzają. Wskazanem natomiast i koniecznem jest dopuszczanie do nich dzikich kaczorów, aby odświeżyć krew.

Wczesną wiosną już dnie całe zaczyna przebywać gdzieś nad brzegiem wody, na noc wracając stale na zwykły nocleg. Jaja składają późną wiosną po zaroślach, w niewielkiej przytem ilości i wyprowadzone młode przyprowadzają stale do domu, lecz wogóle są niezbyt płodne i trudne do rozprowadzenia. Zdaje się, że częściowe ich oswojenie zmniejsza ich płodność i wogóle im większy stopień oswojenia, tem mniejsze zdolności wabienia. Tak, że wskazanem jest pozwolić im przebywać zupełnie swobodnie, przyzwyczajając tylko do pewnego karmienia w domu: napewno nie odlecą z innemi kaczkami.

Sądzę, iż te parę wskazówek, jak i opis, zostaną życzliwie przyjęte przez ogół myśliwych i zachęcą do próby nieobznajmionych z tym wdzięcznym sposobem polowania.

K. Jurgenson.

Maj. Ohowo, 21 marca 1926 r.

Z TOKÓW I CIĄGÓW POLESKICH.

Korzystając z gościnności pp. Szyczewskich w Tomaszgrodzie (powiat Sarny), spędziłem u nich parę tygodni — jak w raju! Tereny te stanowią prawdziwe Eldorado Myśliwskie, szczególnie rewir tak zwany „Pogoń", wynoszący kilka tysięcy hektarów nieosuszonego błota, zarosłego sosną i brzeźniakami, da się chyba porównać do słynnego „Mchu" Michalińskiej puszczy, obecnie dzierżawionej przez potężną organizację Poleskiego towarzystwa. Dość powiedzieć, że jednego wieczoru na zapadach osadziłem 14 głuszców — drugiego 18. Cyfry te, same mówią o zwierzostanie wspaniałych „urogallus'ów" w tej błogosławionej krainie. Lecz, pozatem że pogoda nie dopisywała, ciągłe wiatry, deszcz, lub burze z piorunami, jak zwykle, na podobnych jednolicie błotnych obszarach, obfitujących w trubadurów wiosny, podchód w pieśń, oprócz trudności na skutek gęsto rozsiadłych osobników, był utrudniony przez okoliczność, że podskoczywszy dwa kroki między kępami, po kolana w wodzie najzupełniej prawidłowo, słyszało się raptem — o zgrozo!... bul! bul! bul!... Woda o kilka kroków za strzelcem rozpoczynała swą denerwującą melodję na zasadach praw niezłomnej fizyki. Rozpacz! Mój długoletni przyjaciel i najmilszy kompan wierzchowieńskich i innych polowań, Józef hr. Stecki z Międzyrzecza poświęcił pięć — literalnie pięć poranków, nie doszedłszy „pod pieśń" do strzału. Podziwiałem jego wytrzymałość i cierpliwość. Gajowi poleszuki też nadziwić się nie mogli, że mając kilka razy możliwość „z nalotu" strzelić do nadciągających głuszców, nie czynił tego jednak. „Mea culpa", sam nie wiem, czybym na czwarty lub piąty ranek w warunkach podobnego terenu nie popełnił takowego „kryminału". O ile w miejscowości suchej uczynek podobny rzeczywiście kwalifikować się może do brzydkiego określenia, jednakże „sroga błotność" może być okolicznością łagodzącą poniekąd, szczególnie po trudach kilku bezsennych nocy. Atoli, iście rzymsko-myśliwska powściągliwość mego towarzysza zasługuje niezawodnie na szczery aplauz. Ja osobiście w pierwszą noc z 8 na 9 kwietnia, kiedyśmy to z doktorem Prochorowem z Równego, obudzili się przy ognisku, zasypani kilkucalowym całunem śniegu, miałem szczęście usłyszeć czarowne dźwięki, oraz podskakiwać do głuszca.

Ostatni, naturalnie, o tej porze roku w ciemnościach jeszcze do głuszycy zleciał, lecz św. Hubert zlitować się nad swym sługą raczył. Do przelatującego nad głową o kilka kroków, nie strzelałem oczywiście, lecz inny wspaniały ptak z dalszych zakątków tokowiska nadciągnął i zapadł na czubku „chwojki", o trzydzieści metrów, rozpuścił wachlarz. Już, już miała się rozlec niezrównana kantylena... Lecz dzień jasny począł świtać, rozpraszając cienie nocy, w których przed chwilą jeszcze zatracał się gotyk pni sosnowych. Zoczył mię, albowiem, powoli, jak piękna kobieta swem wachlarzem manewrować począł, głowa czujnie, jak u żmii do góry się podniosła. Chwili zwlekać nie można było. Strzał i o jednego bohatera miłości zostało mniej na moczarach starego Polesia. Miałem więc iluzję strzału, prawie że „pod pieśń" zdobyłem swoje siedemdziesiąte wiosenne trofeum — ogromny 14 funtowy okaz. Dzięki Ci, św. Patronie nasz...

Z powodu fatalnej pogody, głuszce wogóle grały źle, nierówno, zlatując na „ziemny tok" w mrokach zupełnych. Podskakiwałem jednak do kilku

„delektowałem“ się do syta, lecz wziąwszy pod uwagę właściwości „akwatyczne“ terenu, do strzału więcej nie doszedłem. Puhar rozkoszy wychyliłem do dna.

Rok Pański 1926 nowy nastąpił, albowiem lata, w których miałem nieszczęście być pozbawionym radości napawania się „klapaniem i szlifowaniem“ — wyeliminowane są z życia mego. Szkoda, że nie jestem „une jolie femme“ — balzakowskich wiosen. Nie w jednym wypadku przydałaby się wyśmienicie podobna metoda chronologiczna!.. Na suchych tokowiskach, mówiono mi, że głuszce, o ile pogoda dopisywała, grały nieźle, lecz także nierówno. W obok leżącej majętności pana Peretjatkowicza padło podobno dwanaście kogutów, u państwa Bohuszów-Szyszko — też ze trzy. Wspaniałe zato miałem ciągi słonek. Z sympatycznym p. Szyczewskim „ju-



Prez. Świętorzecki z ubitemi tej wiosny głuszcami

njorem“, chodziliśmy co wieczór prawie do uroczyska „Młynok“, gdzie też regularnie padało 3—1 długodzioba z mej ręki. Ciągnęły i chrapały wybornie. W porównaniu z rokiem ubiegłym, obfitość miłych „scolopax‘ów“ była wielka — i to sygnalizują mi ze wszystkich rejonów lęgowych. Widocznie przeloty odbywały się w noce jasne i mniej zginęło też cudnych twórczyń naszych nastrojów wiośnianych przez rozbicie biednych główek o szkła latarni morskich w snopach zdradzieckich promieni projektorów elektrycznych.

Na skutek gwałtownych zmian atmosferycznych widocznie też mniej ucierpiały od chciwości „cywilizowanych Europejczyków“, jako też barbarzyńskich graždan-bolszewickich, podczas przelotów swych i pobytu na „Kosie Kinburna“, oraz na innych wystających w morze cyplach. Rozmnażajcie się i powiększajcie — ptaszki najmilsze — jako piasek na dnie Oceanu. Ku pociesze nas wszystkich biednych, życiem spracowanych ludzi. Podróż dwudziesto kilometrową łódką, rzeką Lwą, która nieco dalej przecina wspaniałe tereny ordynacji Dawidgródzkiej, zaliczam do najrozkoszniejszych chwil życia. Nie wyobrażam sobie, iżby urok jakiejkolwiek bądź arterji wodnej, wijącej się wśród lasu paproci olbrzymich, palm pierzastych, całej egzotyki przepychu wegetacji tropikalnej — mógł przewyższać czarem piękna naszą, poczciwą rzeczkę poleską. Ogromne przestrzenie, zarosłe wierzbą, trzcinami, śród których wije się Lwa, przeplatane sklepieniem olch olbrzymich, na których to, wielce ostrożny bocian czarny „hajstra“ się wywodzi, zalane słońcem wiośnianem, — rozmodlone ptasząt Bożych śpiewem, drgające kaczek przeróżnych poświstem i lubieżnem kwakaniem, — jakie one są nasze, jakie bardzo „swoje“ i jak gorąco kochane...

Padło też oczywiście kilka pięknych, różnobarwnych kaczorów, których szał miłosny, mój wierny „dryling“, bezlitośnie i nazawsze gasił. Później bajeczna, pierwsza w życiu odbyta peregrynacja w noc ciemną, wozem, „wołami“ zaprzężonym „napramiki“ przez zalane łąki, tajemnicze rojsty, jakieś wykroty, zdawałoby się nieprzebyte, przy świetle kagańców—smolaków, przez „pniaki ludzkie“ — poleszuki niesionych. Wyprawa ta będzie tematem jednego z mych bardziej szczegółowych opisów, gdyż swoją niesamowitością, zaiście warta takowego. Jeszcze oprócz kilku czystych, jak łza poranków, na tokach cietrzewich, daremne starania dostania się do jednego z najlepszych tokowisk, na którem zlatywało się nie mniej niż dwustu kogutów; strzały do liroogoniastych czarnych rycerzy, których na terenach tomaszgrodzkich padło kilkanaście, z tych kilka z rąk prezesa Sądu okręgowego w Równem, dzielnego myśliwca, pana Chmielowskiego, oraz doktora Prochorowa, i powrót do dalszej, twardej walki życiowej, do „miasta złego“ — niestety. Nie mogę pominąć nieco „niemyśliwskiego“ faktu zabicia przezemnie kogucika jarząbka, zwabionego przez hr. Steckiego, siedzącego przy ognisku w pantoflach, ładnym bardzo strzałem rzutowym w lot, śród otaczającej nasz „ostrówek“ noclegowy zwartem kołem drągowiny.

Oryginalność warunków, oraz prymitywność zaiste rajska naszych na ten czas „ultra-modernistycznych“ kostjumów, poniekąd uniewinniają mój „crimen“ przeciw etyce łowieckiej.

Dusza się odradza. Serce ożywia. Organizm cały tężyzny nowej nabiera, jak winem szlachetnem upajając się twórczym oddechem przedwiośnianego Polesia.

Dzięki serdeczne składa najgościnniejszym, czcigodnym państwu Szyczewskim.

Adam Rzewuski.

Warszawa w maju 1926 roku.

PRAWODAWSTWO ŁOWIECKIE.

Projekt ustawy o ochronie zwierzyny dla Rzeszy niemieckiej.

Duch rewolucji przyniósłszy ze sobą mniemanie, że zwierz jest w tym sezonie własnością ogółu, że wolno go strzelać pierwszemu lepszemu, zdziesiątkował zwierzostany środkowej i wschodniej Europy, obfite przed wojną łowiska zmieniły się niemal w pustkowia, które uzupełnić i do pierwotnego stanu doprowadzić stało się mozolnem zadaniem hodowców, nadomiar niezmiernie utrudnionem wadliwemi ustawami łowieckiemi. Niewiele lepiej aniżeli u nas przedstawiały się stosunki te w Niemczech, gdzie spustoszenia, jakich dokonały w naogół bardzo dobrze prowadzonych łowiskach różnego rodzaju elementy, przypominały skutki ruchu rewolucyjnego 1848 roku. Mając zatem wspólny cel z Niemcami,, a jest nim ilościowe i jakościowe podniesienie zwierzostanu, przypatrzmy się formie w jakiej te dążenia ich swój wyraz znalazły, a niezawodnie będziemy mogli odnieść wielkie korzyści. Wśród tych, którzy zmianą ustaw łowieckich dążą do naprawy zła, na uwagę zasługuje przedewszystkiem Raesfeld, znakomity i zasłużony hodowca i myśliwy, autor kilku niezrównanych dzieł z dziedziny łowiectwa. Pozwolę sobie omówić w zarysie jego projekt ustawy o ochronie zwierzyny, daleki jednakże od tego, by chcieć lub móc rozwijać bogate tematy, w jakie obfitują dzieła Raesfelda, a które każdy hodowca-myśliwy znać powinien. Projekt ten określa Raesfeld jako jednolite pory ochronne „für alle Länder deutscher Zunge", wiadomą bowiem rzeczą, że w każdem z państewek, z jakich składa się Rzesza, obowiązuje dotąd osobne prawo ochronne; przedstawia on się następująco: Dla jeleni byków czas ochrony od 1-go lutego do 15 sierpnia. Wprawdzie kapitalny byk ma wieńce wytarte już na 1-go sierpnia, ze względów hodowlanych jednakże przechodzą na listę odstrzału również i słabsze rogacze, wycierające wieńce z reguły później. Z dniem 31-go stycznia odstrzał powinien ustać z zasadniczych względów. Czas ochrony łańki, oraz łań jałowych, jeleni i danieli przez luty, marzec, kwiecień i maj, dla niejałowych łań, oraz cieląt od 1-go lutego do 15-go października. Raesfeld zwraca specjalnie uwagę na jakościowe podniesienie zwierzostanu, czego objawy uwidaczniają się tak w przyroście wagi zwierzyny, jak i wagi, kształcie i rozmiarach wieńcy, a co osiągnąć się da, abstrahując od kosztownych a wątpliwych prób krzyżowania i importu sztuk obcych, jedynie przez ustosunkowanie płci w sensie 1:1, drogą w ten sposób unormowanego odstrzału samic. Stosunek 1:1 w odniesieniu do jeleni, danieli i sarn, jest jedynie właściwym, za którym przemawiają wszelkie względy racjonalnej hodowli, stanowiąc łącznie z ochroną samców do hodowli się nadających, u kozła do lat 7 — 8, u jelenia plus minus piętnastu, nieodzowny warunek dochowania się kapitalnych, wystawowych wieńcy, łopat i parostków. Dla danieli byków opiewa projekt ochronę od 1-go lutego do 1-go września, odstrzał zatem miałby się rozpocząć o 2 tygodnie później, aniżeli jeleni, ze względu na później wytarte łopaty. Jako czas odstrzału łosi byków, określa projekt miesiąc wrzesień, przewidując zarazem zupełną ochronę samic. Kozły mają podlegać ochronie od 1-go listopada do 1-go czerwca następnego roku: o słuszności tego żądania była już mowa. Kozioł do 1-go



Sarenka.

czerwca nie zgubił jeszcze swej zimowej sukni, nie zatarł jeszcze śladów minionego niedostatku, dobry zaś kozioł na 1-go listopada powinien już był swe parostki zrzucić. Siuty, oraz jałowe kozy winny podlegać ochronie od lutego do 1-go października, stare kozy i koźlęta od Nowego Roku do 1-go listopada.

Przyczyna w ten sposób unormowanego odstrzału samic jest identyczna z wyżej omówioną, jest nią dążenie do jak najmniejszego wyczerpania się kozłów w czasie rui, czego skutki są rychłe i głębokie. Dla zajęcy Raesfeld przewiduje czas ochrony od Nowego Roku do 1-go października. Zdaje się, że byłoby lepiej, ażeby czas ochrony dla zajęcy trwał nieco dłużej, a mianowicie do 15-go października, aby skończyć sezon polowań w tydzień po Nowym Roku, termin 1-go października jest stanowczo za wczesny

tak, jak z drugiej strony, przedłużenie odstrzału do 15 stycznia pociąga za sobą szkodliwe następstwa. Podczas gdy odstrzał głuszca miałby być dokonanym w marcu i kwietniu, głuszyce winny podlegać całorocznej ochronie. Czas odstrzału cietrzewi przypada na kwiecień, maj, następnie od 16-go września do końca listopada, cieciorek z pominięciem okresu wiosennego. Dla jarząbków, oraz bażantów kogutów projekt przewiduje czas ochrony od lutego do 16-go września, dla kur bażancich od 1-go grudnia do 16-go września. Odstrzał kogutów kuropatwich, których stały nadmiar w wysokiej mierze wpływa ujemnie na przyrost, mógłby, według Raesfelda, mieć miejsce w kwietniu, jednakże tylko przy użyciu w klatkach zamkniętych czyrykających kur, t. zw. „Lockhenne". Odsztrzał kur i kogutów miałby przypadać na wrzesień, październik i listopad. Może byłoby lepiej strzelać kuropatwy od 20-go sierpnia do 15-go listopada, lecz stanowczo nie dłużej, ażeby uniemożliwić raz na zawsze strzelanie kuropatw na grudzie lub śniegu. Dla gołębi projekt opiewa czas ochrony od kwietnia do czerwca włącznie, drozdów od lutego do 21-go września. Dropie tak jak i słonki miałyby podlegać ochronie od 1-go lutego do 16-go sierpnia. Co do dropi, to jest ich u nas tak mało, że na przedłużenie ochrony każdy myśliwy, bez wyjątku, zgodzić się powinien, co się zaś tyczy słonek, konieczność wyrzeczenia się strzelania na wiosennym ciągu znalazłaby niezawodnie licznych przeciwników. Wielu tymczasem bardzo dobrych myśliwych w okresie tym do słonek nie strzela, sam zaś fakt, że nie kto inny, jak Raesfeld, domaga się ochrony słonek na wiosnę, nad czem rozwodzić się nie mogę, przemawia sam za siebie*). Dzikie kaczki, tak, jak gęś, łabędź, oraz inne ptactwo błotne i wodne, miałyby mieć czas ochrony od lutego do 1-go sierpnia. Co do kaczki, to jak najsłuszniej powinny one podlegać ochronie już od lutego, sądzę jednak, że byłoby wystarczającem, gdyby ochrona kaczki trwała do 20-go lipca, tak, jak z drugiej strony, dotąd w b. zaborze pruskim obowiązująca ochrona do 1 lipca, nie jest racjonalną. Ciekawą jest rzeczą, że Raesfeld nie uwzględnia w swym projekcie odstrzału kaczorów, o których mówi w „Die Hege in der freien Wildbahn" skąd i ten projekt jest wzięty, że jest ich wszędzie wielki nadmiar i że z tej racji zawsze i wszędzie (oczywiście, o ile na to pozwalają względy innej natury) należałoby je odstrzelić. Widocznym brakiem tego projektu jest brak ochrony dzików, za którą przemawiają wszelkie racje, której ogół myśliwych powinien się stanowczo domagać, a która obowiązywać winna od połowy lutego do września najmniej. Nie mówi też Raesfeld o jaźwcach, których ochrona od grudnia do września byłaby odpowiednią.

Przyjęcie i wprowadzenie w Polsce projektu tego, czem uprzedzilibyśmy Niemców, przyczyniłoby się wraz z kardynalnemi wśród innych warunkami zakazu strzelania po nocach, oraz ograniczonej liczby wydawanych kart łowieckich, do rozkwitu naszych łowisk tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym zwierzyny. *Zygmunt Metzig.*

*) Redakcja nasza jest całkowicie odmiennego zdania i argument Raesfelda bynajmniej nie jest uważany przez nią za słuszny. Odstrzał słonek na ciągu jest jedynie odpowiednim ze względów hodowlanych, gdyż nie dotyka samic, tak jak odstrzał z pod naganki lub z pod psa. – (Przyp. Red.).

W OBRONIE WIĘZIONYCH PTAKÓW.

Pragnę zabrać głos w obronie istot najbezbronniejszych: więzionych ptaków. Nie mówię tu o ptakach gospodarskich, które człowiek hoduje i zabija na pokarm, zmusza nas do tego walka o byt, potrzeba naturalnego życia kosztem innych istnień, zjawisko obserwowane w przyrodzie i odwieczne. Ale nie spotykamy u zwierząt faktów, aby trzymały one, męczyły i zabijały inne słabsze istoty wyłącznie tylko dla rozrywki, jeżeli to się zdarza, jest to instynkt zwierzęcy w brutalnem znaczeniu tego słowa. Trzymanie w klatkach małych ptaszków, jako to: kanarków, szczygłów, papug, czyżyków, słowików, gili itp., nie jest nam koniecznie do życia potrzebne, ani nie przynosi tyle radości, ile powoduje cierpień, zadawanych tym ptakom przez pozbawienie ich wolności. Cierpienia te potęguje często zaniedbywanie ptaków, które się trzyma, bo są tanie, słabe, no i nikt się o nie nie upomni. W y p u ś ć m y p t a k i n a w o l n o ś ć!

Zareagować należy poza tem przeciwko bezmyślnemu tępieniu ptactwa, uprawianemu u nas zwłaszcza na wiosnę i podczas lata, kiedy głodne pisklęta wyczekują napróżno powrotu matki.

Ochrona ptactwa, jest to sprawa, wymagająca szybkiego rozwiązania, ponieważ kraj nasz jest coraz gęściej zaludniany, padają pod toporem dawne rozległe bory, wszędzie rozlega się głos człowieka, natomiast coraz rzadziej słyszymy słowika, coraz mniej ptaków ożywia nasze podmiejskie miejscowości. Istnieje u nas Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, istnieją przepisy, zabraniające w pewnych porach roku handlu ptakami leśnemi, ale są to pół-

środki i to na papierze tylko, ponieważ społeczeństwo niedostatecznie uświadomione, nie przestrzega tych przepisów. Słyszałem zdania, że całe masy kanarków urodziły się w niewoli i nigdy nie widziały swych wysp Kanaryjskich, żyjąc w klatkach z pokolenia na pokolenie. Bardzo być może, ale to jednak nie dowodzi byśmy je w dalszym ciągu uwięzili. Murzynów, urodzonych w niewoli uwolniono narówni z innymi. Całe współczesne społeczeństwo polskie jest urodzone w niewoli (oprócz kilkoletnich dzieci) jednak mieliśmy zawsze i mamy prawo do wolności. Zwłaszcza, my, Polacy, powinniśmy rozumieć, co to jest niewola, bośmy jej sami zaznali. Bardzo być może, że część hodowanych ptaszków nie będzie zdolna odrazu do życia samodzielnego. Lecz i na to jest rada. Dla chcącego niema nic trudnego!

Cóż znaczą te wygody, przysmaki, pieszczoty, których ptak często nie rozumie, wobec radości, z jaką co rok wije gniazdo na potężny zew natury. Wolno nam było milczeć, gdy nie zdawaliśmy sobie sprawy z krzywdy, jaką wyrządzamy innym, ale skoro wiemy o tem, winę ponosimy w pełni. A natura jest mściwa i jej praw nie wolno łamać bezkarnie. Wiemy przecież, że kanarki, trzymane w klatkach, chorują na suchoty, a tym samym są rozsadnikami suchot wśród ludzi. Tak więc, ptak na wolności jest niezmiernie pożyteczny, w niewoli natomiast przynosi nam groźną zarazę.

Rolnik i leśnik wie dobrze, jakie nieocenione usługi oddaje nam ptactwo owadożerne, zjadając setki miljonów szkodliwych owadów.

Tylko żołnierz może powiedzieć, jakim serdecznym przyjacielem na widecie jest głos ptaszka, zwiastujący brzask, a z nim koniec nocnych mar.

Spodziewam się, że spotkam gwałtowny opór wśród handlarzy ptakami, którzy będą się starali sprawę zbagatelizować, ale to nie powinno nikogo zrażać. Tu chodzi o życie i szczęście tysięcy istot żywych!

Musimy pomyśleć o niedoli małych ptaszków, które zamieszkują wespół z nami tę ziemię.

Umiemy się roztkliwiać nad pełnemi żalu wierszami i powieściami o śmierci słowika. Umiejmy zrobić coś dla niego, a będzie to litość szczera, nie fałszywa, będzie to czyn — nie frazes.

Józef Sobieski.

Listy do Redakcji.

JESZCZE O ZAJĄCACH KROŚNIEWICKICH

(Odpowiedź na artykuł „Ex lex" p. J. Kawczyńskiego z Nr. 6 (78) „Prz. Myśl. i Łow. P." z r. b.).

Jakkolwiek p. Kawczyński w artykule swym nie wymienia kogo mianowicie zarzuty przez niego stawiane dotyczą, to jednak łatwo się domyśleć, że chodzi w danym wypadku o dobra Krośniewice z ich tak wielce zasłużonym na polu łowiectwa i hodowli, panem Lazarem, znanym w Polsce, jak długa i szeroka od lat dziesiątków każdemu myśliwemu hodowcy.

Cóż za przewinienie popełnił ten tak znany i zasłużony hodowca zwierzyny?

„Risum teneatis" złapał 1000 sztuk zajęcy za pozwoleniem władz po 1-ym lutego, z których trzysta samców, jako nadmiar, wręcz szkodliwy dla racjonalnej hodowli, kazał zabić. Siedemset sztuk pozostałych, rozesłanych zostało po rozmaitych zakątkach kraju, celem podniesienia hodowli.

Dla laików wzgląd, że się łapie zające po dniu 1-ym lutego, jest winą niewielką — dla myśliwego hodowcy nic, bo ani w październiku, ani następnych miesięcy do końca stycznia, nikt zajęcy żywych nie kupi i do rewiru swego nie puści, gdyż jest to okres, kiedy trwają jeszcze polowania, na których sztuki zarodowe sprowadzone, mogłyby być jeżeli nie przez samego właściciela, to przez miłych sąsiadów zabite. Można to zatem robić dopiero wtedy, gdy w rewirach zapanuje spokój.

Fakt zabicia 300 sztuk samców ,jako zarzut — nie wytrzymuje krytyki.

Wpuścić do rewiru ponownie ich nie można, bo wówczas stosunek pozostałych samców do samic byłby dla dalszej hodowli zgubny nietylko dla Krośniewic, ale i sąsiednich terenów.

Kupić samców żywych też nikt nie kupi, bo normalnie wszędzie jest ich i bez tego przewaga, więc nikt świadomie warunków dla rozwoju hodowli pogarszać nie będzie, a zatem usunąć samców trzeba i to jedynie przez zabicie.

Jak zabić zające złapane — to już jest kwestją drugorzędną — oczywiście, tak, by się nie męczyły. Wiadomo, że zając jest nadzwyczaj czuły na uderzenie pomiędzy słuchy, które go o natychmiastową śmierć przyprawia. Można też to robić i przez zastrzelenie. Ale cóż za amator znajdzie się, któryby zechciał z gwarancją niechybienia strzelać do zajęcy, wypuszczonych z worków, czy klatek?

Stanisław Kamocki.

Przypisek Redakcji. Niniejszym artykułem Redakcja nasza zamyka ostatecznie polemikę na powyższy temat, będąc zdania, iż samo nazwisko p. Lazara, jednego z najznakomitszych hodowców zwierzyny w Polsce, dostatecznie stwierdza, iż w Krośniewicach nie popełniono żadnego czynu, niezgodnego z prawem lub etyką łowiecką.

Jeszcze w sprawie łusek „POCISK“.

Zanim „Przegląd myśliwski“ zdążył zamieścić na łamach swych moje — przed kilku tygodniami przesłane—uwagi na temat łusek „Pocisk“, ukazały się inne artykuły w tejże kwestji, między innymi znanego myśliwego pana Sandera, którego artykuł wprowadza bardzo zresztą pożądaną polemikę do ankiety. Artykuł ten podniecił i mnie do małej polemiki z wywodami właśnie pana Sandera, a w szczególności z jego potępieniem przerabiania używanych już łusek i wydaniem sądu ujemnego o ruchomych kowadełkach.

Z zasady jestem zwolennikiem robienia naboi własnoręcznie przez myśliwego i jakkolwiek dzisiaj nabój gotowy, nabyty w sklepie, nie kosztuje drożej od zrobionego w domu, a odpada czas zabierająca praca, szczególniej przy odważaniu prochu bezdymnego, to jednakże dodatnią stroną własnoręcznie przygotowanych naboi będzie to ważne przeświadczenie myśliwego, iż wie, czem i jak łuskę napełnił, oraz świadomość, że wkłada do luf nabój najlepiej jego broni odpowiadający, co w danych warunkach pory, rodzaju polowania itd., rzecz całą jeszcze ważniejszą czyni.

Myśliwi, przygotowujący dla siebie naboje własnoręcznie, przerabiają też zwykle wystrzelone łuski. Aby zaś taki przerobiony nabój nie wyglądał „niesmacznie, brudno, zmięto“ i niepewnie, musi być łuska w dobrym gatunku, łatwa manipulacja przy rekonstrukcji, a rodzaj spłonki względnie kowadełka, niezawodzący. Kowadełko ruchome jest jednak najłatwiejszem w użyciu przy przerabianiu tak, jak i spłonka z urządzeniem krzyżykowem, czy spłonka z podwójnem dnem. Najmniej pewnem jest kowadełko stałe, bo gdy za słabe, to mała ilość prochu, która dostanie się między spłonkę a kowadełko, wyrwie go w chwili strzału, a gry za głęboko osadzone, zawiedzie. Instrument zaś dźwigniowy, który p. Sander poleca, przyczynia się do skaleczenia i wgłębienia tego stałego kowadełka. Miałem w użyciu łuski z ruchomem kowadełkiem, które było nawet więcej „ażurowo“ osadzone, niż stałe, było ono szerokie, w rodzaju trójzębu, a na niem spłonka, szeroka. Używanie spłonek na ruchomych kowadełkach przez fabrykę Eleya, przypisuje p. Sander „znanemu konserwatyzmowi angielskiemu“. — Co jak co, ale pod względem sprzętu myśliwskiego, świat cały wzór z Anglji dotąd brać musi. Nie strzelają oni z kapiszonówek, lecz z broni najbardziej wydoskonalonej i zmodernizowanej. Jeżeli ich system zamknięcia „Greenera“ utrzymał się tak długo i przetrwał różne późniejsze „epokowe“ wynalazki na tem polu fabryk np. niemieckich, to tylko dlatego, iż jest on dotychczas rzeczywiście najlepszym. Tu konserwatyzm angielski jest zupełnie na miejscu, a zapewne odnosić się to musi i do spłonek Eleya.

Zupełną natomiast rację przyznać należy panu Sanderowi, że spłonki „Gevelot“ są najpewniejsze dla prochów bezdymnych, a przy broni automatycznej tylko tych spłonek używać należy, o ile — broń ta brzydka, niezręczna, a co najgorsze, wodząca na pokuszenie co gorętszych strzelców do kaleczenia zwierzyny na nieprawdopodobne odległości — pracować ma bez zacięcia się, jak karabin maszynowy. I ja jestem zwolennikiem wielkim spłonek „Gevelot“, jednakże mam pewne wątpliwości właśnie co do tych spłonek po ostatnio ogłoszonym w „Przeglądzie myśliwskim“ wyniku prób dokonanych przez Lubelskie Towarzysawo Łowieckie. Podczas tych prób okazało się bowiem, iż łuski „Pocisk“ ze spłonką płaską dały lepsze rezultaty od naboi w łuskach Utendorfera i Warszawskiej Spółki myśliwskiej, zaopatrzonych spłonką „Gevelot‘a“. Wina tu chyba tylko spłonki długiej, wystającej nieznacznie ponad podstawę łuski, bo sama łuska „Pocisk“ w dotychczasowej swej formie w jakości nie dorównuje jeszcze łuskom Utendorfera i W. Sp. M. tak pod względem materjału, jak jeszcze więcej wykonania. Moż e ten właśnie wydłużony kształt spłonki „Gevelot“, nadający prosty kierunek płomieniowi przy wystrzale, jest niekorzystnym? A może wyższe okucie metalowe łusek „Pocisk“ jest przyczyną lepszych rezultatów? W każdym razie rzecz warta zastanowienia i dalszych prób, by rezultat miał swoje logiczne uzasadnienie i praktyczne wydał owoce.

Kończąc, powtarzam, jak i w poprzednich moich uwagach nad łuskami „Pocisk“, a podobnie, jak dr. Żenczykowski, że życzyćby sobie należało, by firma wyrabiała łuski conajmniej w 2 gatunkach, a więc: a) do prochu dymnego i łatwego przerabiania zatem ze spłonkami o ruchomem kowadełku lub spłonkami z „krzyżykiem“, a bez tekturowej wkładki i b) w gatunku lepszym do prochu bezdymnego z wkładką i spłonką „Gevelot“, również łatwą do usunięcia. Oba gatunki łusek w 2 barwach kartonu każdy.

31.XII.1925. *Jan Brandt.*



SKŁAD BRONI
POD FIRMĄ

J. Sosnowski właśc. Cz. Lisowski

Warszawa, ul. Ossolińskich 1 (Czysta). Tel. 47-47.

POLECA:
BRONIE ŚRUTOWE I SZTUCERY DUBELTOWE FIRMY G. DEFOURNY SEVRIN W LIÈGE I J. NOWOTNY. KONKURSOWE SZTUCERY I SZTUCERKI DO STRZELANIA TARCZOWEGO.

PRZYBORY FECHTUNKOWE, ORAZ PRZYRZĄDY WOJSKOWE STRZELECKO-ĆWICZEBNE STALE NA SKŁADZIE, POTRZASKI NA SZKODNIKI.

NABOJE ŚRUTOWE POCISK ELEY, WARSZTATY REPARACYJNE.

SKŁAD BRONI i PRACOWNIA RUSZNIKARSKA

S. CHABROWSKI, Łódź

ul. Piotrkowska 83 Telefon 26-62

poleca w wielkim wyborze:

BRONIE MYŚLIWSKIE, SZTUCERY, TRÓJLUFKI, REWOLWERY i KARABINKI SPORTOWE

pierwszorzędnych fabryk:

Forgeron, Lebeau, Francotte, Sauer, Heym, Rempt, Fabrique National, Winchester, Simson, Carl Walther i wielu innych.

AMUNICJA WSZELKIEGO RODZAJU. PRZYBORY MYŚLIWSKIE.

Wyłączne przedstawicielstwo na **Polskę** i **Gdańsk** fabryki naboi myśliwskich **„WOLFF & Co WALSRODE"**.

Oryginalne naboje marki „SONNÉ" i „WOLF" z kapiszonem Gevelot oraz naboje własnego wyrobu maszynowego.



Dostawa bezpośrednio z fabryk lub ze składu Łódź. Najtańsze źródło nabycia.

Przed nabyciem żądać oferty i fachowej porady.

„HODOWLA Z NAD GOPŁA"

ma do oddania kilka najszlachetniejszych wyżłów młodych w drugiej połowie czerwca. **Ojciec Ingo** z nad Gopła I-sza nagroda, popisy wyżłów dowodnych w Kurzebieli 1925. **Matka Bessy z Poznańskiego** II-ga nagroda popisy wyżłów dowodnych w Głuszyniu i Piotrowie. Cena **80** wzgl. **70** zł., menerzy mają pierszeństwo.

IG. JASIŃSKI, STRZELNO, WIELKOPOLSKA.

S. HISZPAŃSKI szewc

w Warszawie, Krakowskie Przedm. 7, tel. 48-02.

Istnieje od 1838 r. 16

SPECJALNOŚĆ! Obuwie myśliwskie.

Leśniczy, żonaty, 40 lat, energiczny, obeznany gruntownie z zakładaniem lasów — szkółek leś. — eksplotacji lasów. Pracując we wzorowo prowadzonym gospod. leśn. Zarządzając ostatnio 2.500 dziesięcin lasu. Poszukuje od lipca lub 1-go października r. b., dla polepszenia sobie bytu, odpowiedniego stanowiska. Łaskawe zgłoszenia do „Przeglądu Myśliwskiego" pod **Nr. 100.**

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond.
Dyrektor Zarządzający: Benon Perzyński.

Wydawca: Myśliwska Spółka Wydawnicza (Sp. z ogr. odp.).
Zarząd: Juljan Ejsmond, St. Krzywoszewski, B. Perzyński.

Komitet Redakcyjny: Wł. Czerniejewski, Janusz Domaniewski, Józef Gieysztor, Gen. Adolf Kuczewski, Wł. Janta-Połczyński, Adam hr. Rzewuski i Bolesław Świętorzecki.

Redakcja i Administracja: Nowy Świat 21 (księgarnia Perzyński, Niklewicz i S-ka) tel. 107-37.

Cena numeru niniejszego **zł. 1.30** Prenumerata kwartalna **płatna z góry** wraz z dodatkiem (Bibljoteka Myśliwska) = **7 zł.** miesięczna **zł. 2.50.** Konto czekowe w P. K. O. Nr. 7595. **Rękopisów Redakcja nie zwraca.**

Cena ogłoszeń: 1/1 str. **120 zł.** 1/2 str. **60 zł.**; 1/4 str. **37.50 zł.**; 1/8 str. **22.50 zł.**; 1/16 str. **12 zł.**
Pierwsza i ostatnia strona o 50% droższa.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.